

TRANSLATORIUM

SIEMION FRANK

O BEZSILNOŚCI FILOZOFII  
LIST DO PRZYJACIELA

*Z języka rosyjskiego przetoczyła*  
Katarzyna Misiejczuk



## OD TŁUMACZA

Siemion Ludwigoicz Frank (1877-1950) – rosyjski filozof religijny, psycholog i polityk, którego życie i twórczość przypadają na bodajże najznamienitszy okres filozofii w Rosji; filozofii, która miała nie tylko zaspokoić pytania rozumu, ale i potrzeby serca. Rosyjski renesans filozoficzny, bo tak się właśnie ten okres nazywa, to czas, gdy na niwie filozofii pojawiają się tacy myśliciele jak: N. Bierdiajew, S. Bułgakow, P. Struwe, N. Afanasjew. Wśród nich był i Siemion Frank, profesor Uniwersytetu w Saratowie (1917-1921) i w Moskwie (od 1921). W 1922 roku zmuszony do opuszczenia Rosji osiadł w Niemczech. Mieszkał również we Francji i Wielkiej Brytanii.

Frank należy do grona „kajających się marksistów”, gdyż jego filozoficzne poglądy ewoluowały od „legalnego marksizmu” ku religijnemu idealizmowi. Poddanie marksizmu naukowej i moralnej krytyce doprowadziło do odrzucenia przez młodych zwolenników podstawowych jego dogmatów – materializmu i ateizmu. Bezwarunkowo zostaje przez nich uznany prymat świata duchowego nad materialnym, a problemy religii nie są już tylko przedmiotem zainteresowania Kościoła i teologów, ale ich rozwiązania mają podjąć się filozofowie, pisarze, poeci.

Lata 1914-1922 to dla Franka czas europejskich i rosyjskich katastrof, które nie tylko są bolesnym epizodem w historii, ale także krótką przerwą w rozwoju kultury zwieńczonym religijnym humanizmem. Wedle S. Franka, ten humanizm religijny charakteryzuje zwłaszcza kulturę rosyjską, a jego w niej symbolem jest twórczość Aleksandra Puszkina, Fiodora Dostojewskiego i filozofia Włodzimierza Sołowjowa (szczególnie idea wszechjedności). W pierwszych porewolucyjnych latach Frank zainteresował się popularną wówczas ideą „nowego średniowiecza”, która nie była postulatem powrotu do średniowiecza, lecz wyrażała konieczność uczestnictwa wolnego ludzkiego ducha w Bożym procesie tworzenia. Wstąpienie rosyjskiej świadomości na drogę „nowego średniowiecza” nie było gwałtownym jej zwrotem, lecz odkryciem naturalnych potencji rosyjskiej kultury, tkwiących w niej od wieków. Dla Franka fundamentem jej była kolektywna religijność, gdzie „my” jest podstawą życia duchowego, a „ja” nie zostaje odrzucone, lecz współuczestniczy w „my”.

W 1915 roku na Uniwersytecie w Sankt-Petersburgu S. Frank broni pracę magisterską: „Przedmiot wiedzy. O podstawach i granicach wiedzy abstrakcyjnej”, w której stara się odpowiedzieć na pytania o zasadność dążeń człowieka do zdobycia wiedzy o świecie. Zagadnieniem fundamentalnym filozofii XIX i XX w. – tak europejskiej, jak i rosyjskiej – jest pytanie o to, jak przedmiot poznania znajdujący się poza poznającym „ja” może

stać się faktem dla świadomości tegoż „ja”. Dla Franka pytanie to ma znaczenie nie tylko teoretyczne, lecz praktyczne, wręcz życiowe. Wiąże się bowiem z jego poglądem, że prawdziwe poznanie jest nierozzerwalnie związane z życiem, a rozwiązanie fundamentalnych problemów filozoficznych jest niezbędne do życia godnego. Wedle Franka, prawdziwe poznanie jest poznaniem religijnym, dokonującym się w życiu religijnym. Podmiot poznający uczestniczy w przedmiocie poznania, gdyż wyrasta on z absolutnego bytu, z pierwotnej Jedności. Świadomość człowieka jest niewielką częścią całości, w której uczestniczy, a ostateczna prawda o niej jest zaciemniona i niedostępna. Poznanie prawdziwe musi odbywać się na drodze metalogicznej, gdyż samo życie jest metalogiczne, metalogiczny jest byt. Rozum staje się siłą pomocniczą, która ma jedynie porządkować treści zdobyte przez intuicję. Podstawowym motywem całej filozofii Franka jest dążenie do pogodzenia myśli racjonalnej i wiary religijnej. Filozof czerpie z teologii apofatycznej i chrześcijańskiego platonizmu, efektem czego jest to, że niepoznane jako fakt gnoseologiczny staje się niepoznawalnym jako fakt ontologiczny. A jedną z konsekwencji jest konieczność uświadomienia sobie przez człowieka własnej niewiedzy.

W świetle powyższego sytuacja filozofa wydaje się być przesądzona, gdyż całe swoje życie stara się on powiedzieć cokolwiek o Jedynym bycie, ale wszelkie jego wysiłki, aby wyrazić i przekazać to, co widział i słyszał, spełzają na niczym. Filozof nieustannie szuka formuły, która choćby minimalnie zbliży go do oczywistej prostoty, jednak system przez niego tworzony staje się coraz bardziej złożony, a złożoność ta nie jest dobrym narzędziem prostej intuicji. W poznaniu Frank kładzie nacisk na intuicję artystyczną, którą obdarzony jest poeta. W aktach poznawania przez poetę, w jego emocjonalnym postrzeganiu świata zewnętrznego nie ma podziału na przedmiot i podmiot. Postrzeganie rzeczywistości przez poetę jest postrzeganiem całościowym, emocjonalno-rozumowym.

W latach trzydziestych ma miejsce początek najbardziej płodnego okresu w twórczości S. Franka. Jego owocem jest filozoficzny tryptyk zawierający próby rozstrzygnięć problemów metafizyki, filozoficznej antropologii i filozofii społecznej. Na pierwsze jednak miejsce wśród ówczesnych zainteresowań filozofa wysuwa się problematyka zła, zapowiedzią której jest praca *Niepojęte*. Kolejne pozycje z tego okresu życia Franka to: *Z nami Bóg* (1941), *Światło w ciemności* (1945) oraz *Rzeczywistość i człowiek* (1949). Motywem przewodnim tych prac są dwa zagadnienia: zło, które rodzi się w „niewysłowionej otchłani”, i charakteryzująca istnienie człowieka irracjonalna wolność. Rozstrzygnięcia tych problemów Frank szuka w rosyjskiej literaturze, w twórczości Dostojewskiego i Puszkina. Dostojewski jest dla niego wyrazicielem idei humanizmu, ontologicznej ważności każdej ludzkiej jednostki uwikłanej w ciąg tragicznych wyborów, które są nieuniknioną konsekwencją irracjonalnej wolności, którą człowiek jest obdarzony. W związku z tym Frank kładzie nacisk na wolne przyjęcie wiary w Boga i świat i na fundamentalne znaczenie cierpienia. Jeżeli idzie o twórczość Puszkina, to właśnie Frank jako pierwszy zajął się nią w aspekcie jej religijnej osnowy, którą jest religijność rosyjska. Zwraca w niej uwagę na skłonność do tragicznego odczuwania życia, na religijny stosunek do piękna i twórczości artystycznej oraz na dążenia ludzkiego ducha do mądrości.

Przedstawiany poniższy tekst – *O bezsilności filozofii. List do przyjaciela* – wydaje się być podsumowaniem filozoficznej drogi Siemiona Franka dokonany przez niego samego. List ten powstał w ostatnie dwa lata II wojny światowej, w alpejskiej wiosce, gdzie rodzina Franków ukrywała się przed Niemcami. Adresat listu jest nieznany.

Katarzyna Misiejczuk

## O BEZSILNOŚCI FILOZOFII LIST DO PRZYJACIELA

13 VIII 1944

Z największym zainteresowaniem przeczytałem wszystko to, co napisałeś mi w swojej filozofii. Nie jest ona wcale gorsza, lecz doskonalsza od wielu innych. Znajduję w niej to, co prawdziwe, a zarazem mi bliskie. Szczególnie podoba mi się rozumienie stworzenia świata jako analogia do twórczego procesu w sztuce. Dla mnie jest to pogląd absolutnie prawdziwy (dość wiekowy, jak wszystkie współczesne zresztą, bo odnajdujemy go tak u Arystotelesa, jak u Schellinga). Jesteś w błędzie natomiast, myśląc, że będę próbował „prostować” Twoje „herezje”. Na starość sam coraz bardziej staję się heretykiem i przy całym szacunku dla religijnej tradycji myślę, że filozofia jako owoc wolnej myśli nie może bojaźliwie oglądać się na mity i kościelne władze. Opieram się tutaj na słowach ap. Pawła: „Zresztą nawet muszą być wśród was rozdarcia, żeby się okazało, którzy są wypróbowani”<sup>1</sup>. Mój największy sprzeciw budzi jednak Twoja teza, że możliwa jest filozofia będąca jednocześnie teologią dogmatyczną (filozofia w ramach katechizmu). Rzecz taka udać się nie może. Nie powiedła się ona nawet św. Tomaszowi, a tym bardziej nie może się udać ani Tobie, ani mnie (ludziom współczesnym). Nie przymierzam się jednak do systematycznej analizy Twojego światopoglądu. O tym bowiem porozmawiamy przy najbliższym spotkaniu. Zamiast tego pragnę pogawędzić z Tobą o filozofii w ogóle, albo jeszcze szerzej, jak powiadają: *de omni re scibili et quibusdam aliis*<sup>2</sup>.

Już jakiś czas temu sformułowałem na własny użytek tezę, że „wszyscy oratorzy są kłamcami”, a dotyczy ona szczególnie mówców wybitnych, gdyż dla pięknego stylu i kompozycji są zdolni zafalszować rzeczywistość, stylizując ją. Mówca

<sup>1</sup> 1Kor. 11, 19.

<sup>2</sup> o wszystkim, o czym można wiedzieć, a i o czymś jeszcze (łac.).

to człowiek, który „dla pięknego słówka nie zawaha się zaprzedać i matki, i ojca”. Ostatnimi czasy to samo twierdzą i o filozofach, gdy konstruują zamknięte systemy o świecie i bycie, a tym gorzej gdy o Bogu i świecie. Filozofowie dążą do ujęcia w system wszystkich twierdzeń, pragną wszystkie je sklasyfikować – „zrozumieć” i „objaśnić”. Są więc albo kłamcami, albo głupcami, a najczęściej jednym i drugim zarazem. (Krytyka ta dotyczy i mnie samego. Pokornie wyznaję grzech głupoty i nieuczciwości sądów, jakich się dopuściłem w całym moim życiu.) Hołdując na starość genialnej myśli Tołstoja: „jeśli starzec łże, to tak jakby bogaty kradł”, chcę być absolutnie uczciwy i pokorny myślą. Dlatego szukam nie „filozofii”, a *mądrości*, czyli prawdy – prawdy rozumu i serca. (Aby nie być wobec Ciebie niesprawiedliwym, twierdzą, że filozofia w ogóle jest grą umysłu, dziecięcą zabawą w budowanie domu z klocków, zarazem marzeniem, że stanie się on „domem prawdziwym”. Póki jeszcze jesteś młody, łatwiej jest Ci uczestniczyć w tej grze.) Ale do rzeczy! „Filozofia” jest próbą wypełnienia za pomocą rozumowania szczelin, rys i zapadlin bytu, ale retusz ten jest krótkotrwały, a pęknięcia szybko ukazują się na nowo. A teraz, nie bojąc się sprzeczności (Bergson, który był wybitnie mądry i autentyczny, mawiał, że nie należy bać się *frôler les contradictions*<sup>3</sup>), podejmę się teraz próby *udowodnienia* pokrótce na drodze filozoficznej bezsilności filozofii (gdyż mądrość na ogół leży w *docta ignorantia*<sup>4</sup>, mądrej niewiedzy, tj. w przewyciężeniu za pomocą *myśli* sfery *myśli* abstrakcyjnej).

Cóż znaczy „objaśnić” cokolwiek? Stawiamy pytanie: dlaczego A jest B? Filozof daje odpowiedź, posługując się „rozumowaniem” (szczególnie talmudyści – wielbiciel rozumowania o „nie-aryjskiej” konstrukcji umysłu). Filozof odpowiada więc: „Rzecz to bardzo prosta, jeżeli A jest C, C jest D, a D jest B, to A musi być B”. W matematyce i czystej logice zadanie jest rozwiązane. W *prawdziwym* poznaniu natomiast mędrzec pyta: Dlaczego A musi być C, a C jest D, itd.? Jest to dla niego równie zagadkowe, jak to, że A jest B, a w tym świetle Twoje rozważania są zwykłym szalbierstwem myśli, zamierzonym czy też nie zamierzonym. W ostatecznym rezultacie bowiem każda „logiczna konieczność” sprowadza się do uznania niektórych *faktów* za fakty nieobjaśnialne. (Fakty tego rodzaju, którymi zajmuje się filozofia, nazywam *faktami wiecznymi*; Goethe nazywał je *Urphänomene*<sup>5</sup>.)

Nie to jednak stanowi problem. Ostatecznie rozłożenie prawdy na rząd prawd prostszych jest rzeczą przydatną i racjonalną. Główny problem natomiast stwarza fakt, że wszystkie elementy bytu, stąd też i poznania, są wzajemnie powiązane i splecione tak, że rozwiązując jeden ich koniec, zaciska się inny. Wróćmy do schematu rozumowania: A jest B, dlatego że B jest C, C jest D, a D jest B.

<sup>3</sup> dotknąć sprzeczności (fr.).

<sup>4</sup> mądra niewiedza (łac.).

<sup>5</sup> fenomeny pierwsze (niem.).

Przyjrząwszy się jednak temu bliżej, widzisz, że np.: D jest B tylko dlatego, że D jest A, a A jest B. I tak oto tworzy się zakłęty krąg, bo całe to rozumowanie jest głupotą albo kręactwem, a A jest B tylko dlatego, że jest B. Mało tego, ogniwa te, pomimo że są sporne, często wykorzystuje się do tzw. objaśniania, tj. ukrywania luk w poznawaniu.

Weźmy przykład z Twojego albo jeszcze szerszego, bo apologetycznego rozumowania. Jest nim pytanie o możliwość pogodzenia istnienia zła z jednoczesnym istnieniem nieskończonego dobra i wszechmocy Boga. Odpowiedź na nie brzmi: Bóg dał ludziom wolność, tj. możliwość grzeszenia. Zapytuję więc, w jakim celu Bóg dał ludziom *taką* wolność? Dlaczego nie obdarzył on człowieka wolnością taką, jaka jest udziałem świętych? Wolnością jako wolną niemożnością grzeszenia? Mówiąc wprost: dlaczego Bóg nie stworzył wszystkich świętymi? Święci także są stworzeniem Bożym, a więc wolność nie pociągająca za sobą konsekwencji, jaką jest grzech, jest możliwa. Obiecano nam, że przeobrażony w przyszłości świat będzie Królestwem Bożym. Dlaczego jednak nie mógł być on takim od początku? Wiem, że mędrzec-talmudysta da szybką odpowiedź, powie, iż nie jest to możliwe, gdyż jakiegokolwiek M jest N, a N jest P, odkąd następuje... itd. Zburzę jednak jego spokój następującym kontrargumentem: jeśli jest właśnie tak, to Bóg powinien był stworzyć świat tak, aby M *nie* było N, N *nie* było P, itd. Albo weźmy przykład z Twojej drogi rozumowania. Twierdzisz, że stworzenie jest bytem poza Bogiem, bytem związanym z „nie”, a byt nie-boży „sam z siebie” przechodzi w byt przeciw Bogu. Pytam więc, dlaczego obiecano nam, że w ostatecznym rezultacie „Bóg będzie wszystkim we wszystkim”? Stworzenie nawet wtedy nie będzie Bogiem, ale niemożliwe jest, by było przeciw Bogu, gdyż będzie na wskroś przepełnione Bogiem. Dlaczego nie stało się tak na początku? Wychodzi więc na to, że istnieje zło i ono właśnie jest *przeciwno* Bogu, a nie stworzenie. Stworzenie nie jest przeciw Bogu, lecz nie wiedzieć dlaczego w świecie, u jego początku miał miejsce jakiś błąd... I wiem, że nie jest to żadną herezją. W pewnym obszernym niemieckim katolickim traktacie o teologii dogmatycznej natknąłem się na wyraźną sugestię, że na pytanie to (dlaczego wolność człowieka od samego początku nie mogła być „świętą wolnością”) nie można dać *żadnej* odpowiedzi.

Przykład drugi. Zaprzeczasz mojej tezie mówiącej o „wszechmocy” Boga i konstruujesz wielce mądrą i trafną ideę Boga jako artysty-twórcy. Ale wszystko to, co tak trafnie mówisz o tym ostatnim, sprowadza się do twierdzenia, że artysta wszechmogący nie jest. Tworzenie w sztuce związane jest z *męką*, z wysiłkiem nie zwieńczonym nigdy absolutnym sukcesem, gdyż pokonać trzeba właściwe materii – słabość i opór itd. Myślę tak samo jak i Ty, tyle że wyrażamy to za pomocą różnych słów. I rzeczywiście jestem zdania, że tworzenie świata przez Boga nie było jednym skończonym w czasie aktem, w wyniku którego miały powstać idealny świat. Bóg tworzył, jednocześnie go poprawiając, a my powinniśmy uczestni-

czyć w tym nie doprowadzonym do końca procesie. Wyrażając się dla przybliżenia tego problemu antropomorficznie, myślę, że Bóg popada niekiedy w rozpacz i chce zgładzić to paskudztwo, które powstało z Jego cudownego zamysłu (już prorocy mówili o czymś w tym rodzaju), lecz po chwili żal mu się staje świata i stara się stworzyć go lepszym. Ale jak twierdzi się, Bóg nie ma „tworzywa poza sobą” i nie ma w sobie tej słabości przynależnej człowiekowi-twórcy. Odpowiadam, że nie wiem, może i tak jest, ale tylko wtedy, gdy myśli się o Bogu jako absolutnej pierwszej przyczynie wszechrzeczy. Wiem tylko tyle (nie będąc „mędrcom”, nie pytam „dlaczego?”), że akt tworzenia świata przez Boga, jak wszystko inne, nosi w sobie pierwiastek tragiczny. A to dowodzi, że Bóg w tym ujęciu wszechmogący nie jest, i że świat co najmniej nie w pełni mu się udał (obarczanie za to winą człowieka nie może przynieść żadnego rozwiązania – nie było konieczne stworzenie takiego świata, który mógł upaść. Mówi się: całą winą obarczany jest człowiek, nie Bóg. I słusznie, człowiek powinien tak sądzić, inaczej bowiem stałby się świnią. Dziecko, które pozostawione samo w domu spowoduje pożar, powinno czuć się winne, ale dlaczego rodzice nie odebrali mu zapalek, nie nauczyli posługiwać się nimi, w końcu dlaczego zostawili je samo?).

Przy okazji chcę zatrzymać się przy czymś zupełnie innym. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek mówił, że misja Chrystusa jest porażką. Wydaje mi się, że zaszło jakieś nieporozumienie. Myśl taką uważam za wielce trywialną, gdyż dzieło Chrystusa powiodło się absolutnie, ale sukces Jego w ogóle nie może być mierzony „powodzeniem w świecie”. Chrystus wniósł do świata wieczną miłość rozjaśniającą ciemności, które nie zdołały Go pokonać. Chrystus świadom był tego, że świat ten nie będzie beztroski, lecz będzie gnębiony dlatego, że światłość jaśnieje tylko dzięki cierpieniu, i On chciał, aby świat ten był gnębiony, On wprzód wiedział, że „gdy syn człowieczy powróci na ziemię, nie znajdzie wiele wiary”. „Wszechmoc” i „zwycięstwo” Chrystusowego dzieła jest niczym innym jak niepowstrzymanym *dążeniem do niego ludzkiego serca*, pomimo wszystkich swoich słabości. Katon, rzymski stoik, powiadał: zwycięskie dzieło jest życzeniem Boga, ale zwycięstwo zależy od Katona. I Chrystus mógłby powiedzieć, że chce być prześladowany. A my, będąc z nim, szczególnie z jako wiecznie gnębnym, powinniśmy triumfować największe i absolutne zwycięstwo całego świata.

14 sierpnia

Przelewam na papier nieuporządkowane myśli, ale sądzę, że sam odczuwasz ich powiązanie. Po wszystkich tych drobiazgowych rozmyślaniach mam jasność, że w chrześcijańskiej myśli religijnej i teologii funkcjonują *dwa* zupełnie *różne* pojęcia Boga, które przy uczciwej ich interpretacji, bez ukrywania sprzeczności, okazują

się *zupełnie niepokonane*. Pierwsze nazwę „filozoficznym” pojęciem Boga, drugie natomiast „religijnym”. Wzorem dla „filozoficznego” jest pojęcie wypracowane przez św. Tomasza z Akwinu, drugie zaś to to, które Pascal nazywał „Bogiem Jezusa Chrystusa”. U św. Tomasza Bóg jest Absolutem – absolutną praprzyczyną, prazródłem, wszechogarniającą i wszystko ustanawiającą siłą. W pewnym ogólnym sensie tak pojmuje Boga i Spinoza (jeśli św. Tomasz unika panteizmu, to dlatego, że bardziej konsekwentnie i wnikliwie wywodzi ideę Boga-Absolutu, który u niego nie pochłania bytu skończonego, tak jak to dzieje się u Spinozy, lecz daje mu jakby możliwość rozwoju w swoim łonie – mógłbym zatrzymać się przy tym dłużej, ale zajęłoby to zbyt dużo miejsca). Wszystkie pozostałe, zwykłe, religijne atrybuty Boga, czyli miłość, miłosierdzie czy Bóg jako osoba etc., są tylko rezultatem luźnego „przywiązania do tradycji”, błędzenia myśli (oczywiście nieświadomego, ale rzeczy to nie zmienia). Bóg-Absolut dla myśli czysto filozoficznej jest niezbędny, ale modlić się do Niego, ufać Mu, szukać w Nim pocieszenia zachowując chłodną trzeźwość myśli, nie sposób. Zupełnie inną prawdą jest „Bóg Jezusa Chrystusa”, Bóg ludzkiego serca, Bóg jako miłość i przedmiot miłości, Bóg jako świątynia, Radość, Bóg-Pocieszenie, Bóg, który, jak to Ty trafnie ujmujesz, cierpi z każdym płaczącym dzieckiem. Ten Bóg wcielony w Chrystusie, w Ewangelii (szczególnie Janowej) ostro przeciwstawiony jest „księciu” (czyli władcy i królowi) „tego świata”. W świecie tym On sam jest prześladowany. Jego królestwo (w którym On jest wszechmocny!) – „nie jest z tego świata”. Obaj „Bogowie” bezsprzecznie *istnieją* – jeden odkrywany jest przez rozum, drugi przez serce. Wszelako sprowadzenie ich obu – Boga Arystotelesa i Boga Jezusa Chrystusa – do wspólnego mianownika jest, powtarzam, absolutnie niemożliwe bądź jest skrajnym racjonalizowaniem. (Jeśli większości wydaje się to możliwe, to tylko dlatego, że istnieje pewne psychiczne ogniwo – „trzeci Bóg”, a mianowicie Bóg Starotestamentowy, Bóg jako dobry i potężny władca, który stworzył świat jako mieszkanie człowieka. Bóg, który okazuje człowiekowi miłość i sprawuje nad nim opiekę, pod warunkiem, że człowiek jest posłusznym poddanym. *Ten Bóg został faktycznie* przez Chrystusa odsunięty w cień, zastąpiony Bogiem-ojcem, Bogiem miłości; a tego Boga nigdy nie znał nauczyciel św. Tomasza – Arystoteles, dla którego Bóg jest jeszcze tylko „Pierwszą Przyczyną” i „Czystą Myślą”.) Jestem jednak filozofem na tyle, aby nie sądzić, że znalazłem właściwe pojęcie Boga, a wszystkie atrybuty przez człowieka Mu przypisywane mają tylko względny i symboliczny charakter (jak i u św. Tomasza). W samej rzeczy, Bóg jest niepojęty! Dlatego więc nie zapędzam się w gnostyckie fantazje, ale przyjmuje, że istnieją dwaj realni Bogowie – umownie „zły” albo „obojętny” i „dobry”. Nic poza tym nie wiem. Gdziekolwiek i jakkolwiek, ale już poza granicami ludzkiej myśli, wszystkie zagadki powinny znaleźć rozwiązanie, więc ufamy, że wtedy pojmiemy to, co teraz jest niepojęte, i „ujrzemy” prawdziwego Boga. Nim tak się stanie, teraz ja, z mym

ludzkim umysłem (i sercem) wiem jedno, a mianowicie to, że Jezus Chrystus odkrył (i objawił) przed nami tego Boga, który jest nam potrzebny. I *Bóg ten*, tzn. to pojęcie Boga bliższe jest prawdziwemu Bogu, niż wszystko inne. Słowem, ku temu Bogu zwrócona jest moja dusza i każdy dzień mojego życia, a szczególnie teraz, gdy jest ono u swego kresu. Może nie nauczyłem się w życiu zbyt wiele, ale nauczyłem się godzić z myślą i ze świadomością, że serce mądrzejsze jest niż rozum. Inaczej mówiąc, umysł tylko wtedy jest rozumny, gdy świadom jest własnej ograniczoności. Nietzsche niezwykle celnie mawiał o filozofach: „Ich lache jeder Meister aus, der nicht selber ausgelacht”<sup>6</sup>. I oto dlaczego na przykład – wybaczyć, że przechodzę do nowego tematu – czuję to, co tak niezwykle twierdził Pascal, niezrównany, bardziej wybitny i autentyczny od innych, nawet znamienitszych filozofów. Ogólnie rzecz ujmując, filozof to osobliwy i bardzo dziwny typ i zuchwalstwem byłaby myśl, że to, co jest *jemu* niezbędne, i to, czego *on* szuka, jest absolutną prawdą potrzebną każdemu człowiekowi... Nad wyraz jasno i wyraźnie widzę, jak ponad wielkimi postaciami (oczywiście w określonym sensie wielkimi) francuskiej literatury XVII w. Pascal góruje jak olbrzym nad Pigmiejami. Wszyscy pozostali „wielcy pisarze” dlatego są pisarzami, że są mistrzami w sztuce pisania („pisarz” – biegły w pisaniu), a Pascal jest wybitnym pisarzem dlatego, że być nim nie chce, a znajduje jasne, celne i prawdziwe słowo, aby wyrazić to, nad czym smuci się jego dusza (i dusza każdego człowieka), i aby odpowiedzieć o niektórych, nawet niepojętych, lecz bezspornych „wiecznych faktach”, które on to właśnie dojrzał. A jego stosunek wobec filozofów zamyka się w następujących słowach: filozofowie to dzieci zabawiające się budowaniem z klocków „obrazu wszechświata”. Pascal, wśród nich wzrosły, ongiś również tak się zabawiał, ale musiał dać poważną odpowiedź na pytanie o fundamentalne fakty życia, których należy być świadomym, aby godnie żyć.

Wszystko to, o czym piszę w tym liście do Ciebie, jest czymś w rodzaju filozoficznego czy raczej antyfilozoficznego dziennika, pisanego dość opieszale, gdyż nie starcza mi energii do precyzyjnego wyrażania myśli. Rozprawiać tak można bez końca, ale że dziś chcę już kończyć, tak więc reasumuję.

Możesz sobie pomyśleć, że odrzucając „filozofię”, odrzucam siebie samego i całe swoje życie. Tak jednak nie jest, gdyż po pierwsze moja filozofia, poczynając od *Przedmiotu wiedzy*, zamyka się zawsze w filozoficznym przewyciężeniu abstrakcyjnych idei, w *docta ignorantia*. Po drugie, odrzucam również wszystko obejmujące filozoficzne syntezy czy też systemy, co jest jedynie innym aspektem poprzedniej myśli. Wzorce czerpię od autentycznego i mądrego Bergsona. W ślad za nim sądzę, że wiązkami promieni filozoficznej myśli jak reflektorem

---

<sup>6</sup> Naśmiewam się z każdego nauczyciela, który nie naśmiewa się z siebie (niem.).

nocą możemy oświecać tylko pojedyncze skrawki bytu. Nie jest nam dane ogarnąć i wyjaśnić go w całości w systemie niesprzecznych idei, który nie byłby, jak mówi Bergson, *trop large*<sup>7</sup>, a byłby skrojony na rzeczywistą *miarę* bytu. Ostatecznie dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że w samym bycie synteza nie jest racjonalna, lecz nadracjonalna. Byt nie jest jednoplanowy, lecz wieloplanowy i złożoność ta niesie ze sobą nieskończone pasmo klęsk ludzkiej myśli. Sprowadzić fizykę i etykę czy ontologię, które rysują się jako chłodna myśl poznająca, do logicznej jedności z ontologią zaspokajającą potrzeby serca (*logique du coeur*<sup>8</sup> Pascala) jest przedsięwzięciem zupełnie niemożliwym do wykonania.

Z powyższych moich rozważań wynika właściwa odpowiedź na Twój list, a mianowicie, iż niemożliwe jest stworzenie abstrakcyjnego systemu teologiczno-filozoficznego. Do ostatniej trudności dochodzi jeszcze jedna, a jest nią mianowicie sprzeczność sądów religijnych w samej tradycyjnej kościelnej nauce wiary. Wypada sądzić coś zupełnie przeciwnego, ale uczciwa myśl nie może pominąć tych trudności. Istnieją bowiem nieprzewyciężone rozdziewięki nie tylko pomiędzy poszczególnymi częściami Starego Testamentu, który jest, jak wiadomo, całą biblioteką ksiąg napisanych przez wielu autorów na przestrzeni kilku wieków – od epoki religii pierwotnej do genialnych religijno-etycznych wizji proroków – ale i między poszczególnymi częściami Nowego Testamentu, tak jak i między różnymi epokami i kierunkami nauki Kościoła. *A tym bardziej* (na przekór genialnemu Tomaszowi z Akwinu) między Chrystusem a Arystotelesem! Powtarzam: Twoja filozofia jest wybitna i na pewno nie gorsza, lecz znamienitsza od wielu innych. Mimo wszystko jednak jest ona beznadziejną filozoficzną próbą wyjaśnienia dramatu historii świata, krzyżowej śmierci Chrystusa, Bogurodzicy, Trójcy Świętej w połączeniu z logiką A – nie-A.

Cóż więc mamy począć my, *wierzący ludzie myśli*? Świadomie więc głoszę to, co ironicznie nazwałem „potrójną buchalterią”. Głoszę nie z cynizmu, a śmiem twierdzić, że z potrzeby wyższej mądrości. Należy bowiem połączyć doskonałą niezależność religijnej i filozoficznej myśli z pokornie niewinnym modlitewnym współuczestnictwem w tradycyjnym życiu kościoła. Nie tylko mamy prawo, ale jesteśmy *zobowiązani* z pełną swobodą, nie oglądając się na księgi, kler i sobory, odpowiadać sercem na wezwanie Boga skierowane bezpośrednio do każdego z nas. Objawienie nie wydarzyło się tylko raz w czasie, ono bezustannie dokonuje się i jesteśmy zobowiązani wsłuchiwać się w głos Boga bardziej, niż w człowiecze mity. I tak np. postawa wobec zła w świecie i cierpienia nie tylko Dostojeskiego, ale i szczerze bezbożnych socjalistów *bardziej są chrześcijańskie*, niż postawa św. Tomasza z Akwinu, który wspomina gdzieś, że błogostawieni w niebiosach doznają

<sup>7</sup> zbyt obszerny (fr.).

<sup>8</sup> logika serca (fr.).

szczególnej szczęśliwości, spoglądając na wieczne męki grzeszników! Jak to pogodzić ze słowami ap. Pawła, że gdy choruje jeden członek, chory jest cały organizm? Jak to pogodzić z miłością? Z drugiej jednak strony nie możemy zapominać, że *wszystkie*, także te najlepsze i najmądrzejsze, nasze myśli pozostają, wszystkie one, subiektywnymi i jednostronnymi. W tradycyjnej cerkiewnej nauce owoc zbiorowego poznania, odkrycia mnogich wierzących dusz, w tej mnogości genialnych, większe są od mądrości i prawd zrodzonych w naszych oderwanych, słabych myślach. Tak więc należy połączyć zuchwałość z dziecięcą pokorą. A to jest prosta sprzeczność naturalnego w teologiczno-filozoficznych systemach połączenia własnych sądów z nieśmiałym oglądaniem się na „katechizm”. No i na tym też kończę.